

OJCIEC HEJMO

Czy na pewno tylko on
sprzedał Papieża... 12

TUSK

Chce być prezydentem
Tylko jakim?... 16

Newsweek

SKA

18 / 2006 9.05 2006 6 www.newsweek.pl



91716A 9085000

WIĘKSZY
NIŻ ŻYCIE

Serial

Największa oglądalność

Najwyższe wykształcenie fanów telenowel



HEAVEN ANGEL Ojciec Maciej Malicki nie wygląda na duchownego i może dlatego Zulusi tak go poważają. Misjonarz jeżdżący yamahą i żyjący tak jak oni jest bardziej wiarygodny

Polska ścieżka do serca Afryki

Polscy misjonarze werbiści to faceci z krwi i kości. Jeżdżą na motorach, prowadzą drużyny piłkarskie, budują sierocińce i żyją jak tubylcy. A przy okazji ewangelizują.

JACEK PAŁKIEWICZ

Lotnisko w Harare, stolicy Zimbabwe, upał nie do zniesienia. Dwójka bladych młodych ludzi podchodzi do czekającego na nich Europejczyka ubranego w dżinsy i T-shirt: „Szczęść Boże, ojeże!”, „Odwal się, nie jestem twoim ojcem” - pada odpowiedź. „Mietek”, czyli Maciej Malicki i „Mały”, Marek Głodek, absolwenci seminarium w Pieniężnie, stają jak wryci. Tak ojciec Krystian Traczyk powitał ich w Afryce.

Ojciec Traczyk jest werbißtą czyli zakonikiem ze Zgromadzenia Słowa Bożego i nestorem polskich duchownych w Zimbabwe. Jednym z 868 misjonarzy znad Wisły pracujących w Afryce. O swojej pracy mówi w krótkich zdaniach: - Nie jesteśmy w stanie pomóc wszystkim. Nieraz chciałoby się obrócić jakiś bank, ale uczono mnie: nie kradnij. Boję się tylko sądu Bożego i policji w Zimbabwe.

Kiedy Traczyk przyjechał z Polski do Afryki, był zagubiony i nieświadomy tego, co się wokół dzieje. - Poznawalem realia

niezym przedszkolak. W końcu zrozumiałem, że muszę przewrócić do góry nogami mój system wartości. To, co jest ważne u nas, w Afryce nie ma znaczenia - twierdzi.

Innych sposobów ewangelizacji trzeba używać na Starym Kontynencie, innych tutaj, gdzie ludzie cierpią głód i nędzę, o jakich mieszkańcy Warszawy czy Londynu nie mają pojęcia. - Przede wszystkim, pod żadnym pozorem nie można burzyć świata tubylców.

Ojciec Traczyk mówi, że zgodnie z nowymi zasadami ewangelizacji księża katolicy nie prowadzą teraz misji dla ubogich, tylko z ubogimi. - Uczymy ich miłości i pojednania, a naszą naukę opieramy na Biblii. Nie robimy nic na siłę. Jesteśmy cierpliwi.

Ten jeden z najbardziej znanych na Czarnym Łądzie werbißtów wślwił się tym, że wybudował duży ośrodek pastersko-religijny w Plumtree. Założył też wydawnictwo, które ma formować świeccich katechetów - Afrykanów. - Bo oni są kluczem do rozwoju lokalnego Kościoła - mówi Traczyk.

Zimbabwe zamieszkuje 12 mln. ludzi różnych wyznań: 900 tys. katolików i 2 mln protestantów, 5 mln należy do różnych sekt i tzw. Kościołów niezależnych, pozostali to animiści.

- Sekty działają bardzo agresywnie. Proponują religijność spektakularną, pełną cudów, w której Bóg służy człowiekowi, a nie odwrotnie - mówi ojciec „Mietek”, popijając kufel zimnego piwa. Gdańszczanin, 35 lat, przypomina gwiazdora muzyki pop. Od razu widać, że to postać nietuzinkowa: ma uzdolnienia plastyczne - robi grafiki, fotografuje. Kiedy wsiada na swoją yamahę virago 750, lata na motolotni albo gra na gitarze (uwielbia hard rock), aż trudno uwierzyć, że jest kapłanem.

Parafianie darzą go szacunkiem za to, że w Bulawayo wybudował przedszkole. Ale nie tylko. Akceptację Zulusów uzyskał wtedy, kiedy zobaczyli, że przyjął ich sposób zachowania. - Nieraz ze strachem próbowałem odnaleźć granice akceptacji ich wierzeń, których nie wolno mi przekroczyć - tłumaczy „Mietek” - Z czasem wydeptałem ścieżkę do ich serc.





„Mały” z Ndoluane jest najlepszym kumpem „Mietka”. W 1990 r. porzucił karierę saksofonisty i wstąpił do seminarium. Grał razem w niekonwencjonalnym zespole muzycznym Panika, jeździli z nim po Polsce, propagując idee misyjne wśród młodzieży. Odwiedzali wtedy domy dziecka, zakłady karne. Jego parafia znajduje się na terytorium Botswany w rejonie, do którego można dojechać tylko autem terenowym, a i to nie zawsze. Kiedy tylko jest możliwość, spotyka się ze swoim przyjacielem, żeby podyskutować, ale także po to, by jak za dawnych czasów rozerwać się: pograć na gitarze i saksofonie.

Od niego i jemu podobnych księży w Polsce mogliby się wiele nauczyć. Rozmawiam na ten temat z grupą misjonarzy na szczycie granitowej skały Parku Narodowego Matobo, niedaleko od Bulawayo. - Te osobliwe formy skalne to idealne sanktuarium na odprawianie mszy, na kontakt z Bogiem - zauważa ktoś.

Na tej świętej dla wielu plemion górze chciał złożyć swoje zwłoki Cecil Rhodes, geniusz brytyjskiej finansjery, który marzył, by połączyć pod flagą brytyjską Czarny Łąd od Kairu po Kapsztad. W 1889 r. na czele 200 Afrykanerów i 700 policjantów z Afryki Południowej zawładnął nie-

zbudowanym krajem i nazwał go Rodezją, dzisiaj Zimbabw. Rzeczywiście pochowano go właśnie tutaj w 1902 r., gdzie tak jak kiedyś, tak i dziś krążą czarne orły.

Księża mówią: w Polsce relacje między kapłanem i osobą świecką są zimne. Na misjach to nie do pomyślenia. Tu na liturgicznych spotkaniach ludzie modlą się, zwracają do Boga w atmosferze radości i kolorów, śpiewając i tańcząc. W Polsce jest potrzeba ciszy i skupienia.

Ojciec „Jasiu”, czyli Janusz Prud z Serawe, miasteczka przypominającego wiktoriańską Anglię, opowiada, że wpadł na obiad do swojej polskiej parafii. Został tam przedstawiony biskupowi jako „nasz kapłan - misjonarz”. - Ja tego nie widzę - odparł zwierzchnik diecezji. - Ja nim jestem i wcale nie muszę tego okazywać - odparł „Jasiu”.

Potem ten skromny kapłan, tętnący pogodą ducha, opowiada o swojej pracy. O tym, jak przy pomocy ambasady USA zbudował centrum dla małych sierot, z których wiele choruje na AIDS.

Kiedy przeżywa depresję czy atak apatii, jedzie do sanktuarium przyrody Rhino. Tam pośród nosorożców i żyraf, zatopio-

NIELEKKI CHLEB Polscy werbiści (o. Glodek - z lewej i o. Malicki) nauczyli się w Afryce trudnej pracy misjonarzy

ny w otaczającej ciszy, odmawia brewiarz i popijając piwo podziwiał piękno świata w promieniach zachodzącego słońca. - Czuję się wtedy jak na osobistym spotkaniu z Bogiem - mówi. Relaksuje się też jazdą na rowerze. Jego marzeniem jest przebycie transafrykańskiej trasy z Aleksandrii do Kapsztadu.

Ojciec Sławek Więcek, który przyjechał do Serbina z Lidzbarka Warmińskiego, też nie ma lekkiego chleba. W Afryce chciał udzielać chrztów, uczyć religii, ewangelizować... Po jakimś czasie zrozumiał, że to ciężka praca, obliczona na lata. Na razie jego parafia liczy tylko dziesięć rodzin i kilkanaście wdów. Mówi: tu nie wolno się śpieszyć. Ważna jest moja obecność i ciepłota.

Bo w Afryce Kościół musi wychodzić do ludzi. A księża nie mogą żyć ponad stan. Inna sprawa, że nawet nie mają takiej możliwości. Środki finansowe otrzymywane z miejscowych diecezji pozwalają tylko na wegetację. Pieniądze na dodatkową działalność duchowni muszą wypracowywać sami. Ojciec Marek Grzech z Livingstone dorabia pracą w radiu i telewizji, co pozwala mu pracować z młodzieżą, a nawet prowadzi dobrą drużynę piłkarską. Ojciec Więcek

wypożycza kasety wideo, robi kserokopie, prowadzi kafejkę internetową. Aby utrzymać parafię, „Mały” wyrabia cegły. Kiedy naprawdę są w potrzebie, mogą liczyć na wsparcie polskiego ambasadora Jana Wielńskiego.

Męczy ich tylko jedno: choroby, które cychają na każdym kroku. Ameba, śpiączka, ślepoty rzeczna. Ale najbardziej boją się malarii. Ojciec Piotr Śledź pracuje w Livingstone, nieopodal Victoria Falls, najbardziej imponującego wodospadu Afryki, a równocześnie siedliska niebezpiecznych komarów widliszków. To właśnie one przenoszą malarię, która dziesiątkuje tu ludzi. Ojciec Piotr miał z nią do czynienia już ponad 50 razy. Inni dużo rzadziej. Jednak zawsze wychodzili cało z opresji, i to nie tylko dlatego, że stosują tradycyjną kolonialną receptę na dezynfekcję, czyli dżin z tonikiem.

Jak mówią: czuwa nad nimi Duch Święty, bo roboty mają jeszcze dużo i żal byłoby, gdyby jej nie dokończyli. ■